

OJCZE ŚWIĘTY, JANIE PAWLE II, Z GŁĘBI SERCA CI DZIĘKUJEMY!

W związku ze śmiercią Jana Pawła II powiedziano, napisano i pokazano – niekiedy nawet w sposób znakomity – tak wiele, że dobrze będzie, a może nawet i opatrnościowo, wypowiedzieć się nieco później, podejmując ponownie to, co już tak wszechstronnie omawiano. Odnotowując pewne rysy świetlane, jakie ta agonía i ta śmierć rzuciły na osobę Karola Wojtyły i na sens jego misji, chciałbym tylko zaprosić Czytelników do bardziej jeszcze pogłębionej refleksji nad tym olbrzymim dziełem, jakiego byliśmy i jesteśmy świadkami.

„Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (Ga 2, 20)

Wielki! Tylko Bóg jest bezwzględnie i nieskończenie wielki. Jest przecież nieogarniony, nieograniczony, wszechobecny. Człowiek zaś jest tak naprawdę wielki tylko wtedy, gdy się upodobni całkowicie do Chrystusa. I o tę właśnie wielkość chodzi wówczas, gdy ją przypisujemy takiej postaci, jaką była i jest osoba zmarłego papieża Jana Pawła II. Był on wielki nie ze względu na rekordy wykorzystanej mechaniki, która doprowadziła jego pontyfikat do tak niesamowitych poczynañ, że przyćmiły one zdecydowanie wszelkie sprawy i poczynania, realizowane przez wszystkich innych przywódców naszego globu, ale z racji samej swej istoty, albowiem w najgłębszej jedności swego bytu osobowego Karol Wojtyła pozwalał się ogarniać Jezusowi – aż po swe ostatnie tchnienie i agonię wyczerpanego całkowicie atlety. Uważał, że skoro został powołany, by być papieżem Janem Pawłem II, to powinien też umrzeć jako papież, i to świadomy w pełni tego, że nie dokonał jeszcze wszystkiego, czego miał z woli Bożej dokonać, skoro bowiem tak bardzo poruszył serca i umysły ludzi, to zrealizował tylko małą cząstkę związanego z tym decydującym pontyfikatem dzieła, w którym trwałaby nadal ta jego wielkość prawdziwa. Widzialność zewnętrznych osiągnięć byłaby natomiast po prostu niczym, gdyby te osiągnięcia nie

wynikały ze stosowanych przez niego, jako własne, środków ewangelicznych: głoszenia Chrystusa wobec wszystkich i wbrew wszystkiemu oraz walki o to, co wynika nieodzownie z wiary w Chrystusa. Częściowo była to droga Pawłowa, on zaś doświadczał we własnym ciele, zwłaszcza w tej ostatniej chwili, tego, co w ślad za Pawłem tak często zwiastował: „Tak więc, gdy Żydzi żądają znaków, a Grecy szukają mądrości, my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan, dla tych zaś, którzy są powołani, tak spośród Żydów, jak i spośród Greków – Chrystusem, mocą Bożą i mądrością Bożą. To bowiem, co jest głupstwem u Boga, przewyższa mądrością ludzi, a co jest słabe u Boga, przewyższa mocą ludzi” (1 Kor 1, 22-25).

Właśnie tutaj znajduje się niezbyt często dostrzegane, lub zbyt mało doceniane w rozlicznych dyskusjach, centrum komentarzy i obrazów, rozwijanych i ukazywanych w związku ze śmiercią Jana Pawła II. W momencie, gdy historycy przychodzą z pomocą słabej pamięci tłumów, a obrazy uwypuklają mocno działalność (niezliczone podróże, zaangażowanie polityczne, względnie osobisty charyzmat Papieża), zanim jeszcze się pojawią bardziej pogłębione refleksje nad tym wyjątkowym pontyfikatem, zatrzymajmy się na tych ostatnich tylko tygodniach jego egzystencji, nad tą agonią i śmiercią, przeżywaną w ciele zespolonym bytowo, przez swą wewnętrzną przynależność, z Chrystusem. Ta jedność życia i wiary, jedność prosta, bez żadnej emfazy, jedność misji doprowadzonej do końca, pomimo rozlicznych doświadczeń i przeszkód – otrzymała ostateczną pieczęć w tych właśnie tygodniach, kiedy to miażdżenie się schorowanego ciała kończy się świadectwem mocy. W tym tak wielkim doświadczeniu zmiażdżony nim chory Papież mógł faktycznie się modlić słowami św. Pawła: „Razem z Chrystusem zostałem przybity do krzyża. Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (Ga 2, 19-20).

Owocność agonii

Dla każdego widza dobrej woli, jeśli tylko nie był ślepy na skutek uprzedzeń, a tym bardziej jeszcze dla chrześcijańskiej świadomości widok tego schyłku, a także widok tej spontanicznej, żarliwej reakcji ludu, tak delikatnej, żywej, wyczulonej na tajniki serca, a niekiedy nawet spontanicznie radosnej, narzucał niejako oczywistość tego, iż całą działalność Papieża pojmowano w ścisłym powiązaniu z jej początkiem. Żar wynikał z misji, jaką on otrzymał i – poza wszelką

emocją – realizował w tym wymiarze chrystocentrycznym, jaką miała ona od początku; ukazywała przecież wyraźnie niezliczonym sumieniom ludzkim, jak dalece wówczas, gdy dobiegała kresu jego ziemskiej egzystencja, Papież nie nauczał na swój własny rachunek, w swoim własnym imieniu, lecz w imię Jezusa, a tym, co pomagał ludziom odkrywać, była właśnie ustawicznie czynna obecność Chrystusa w sercu historii i w sercach wiernych, dla których on sam, podczas swych niezliczonych podróży, był prawdziwą drogą do Chrystusa, zwykłym narzędziem łaski. Ongiś narzędziem silnym, dynamicznym, któremu zarzucano nawet nazbyt wiele mocy, jego nieugięte, zdecydowane stwierdzenia, jego siłę. A u kresu swej drogi, w chorobie i niemocy, stał się narzędziem dopasowanym do widoków łaski: sylwetka pochylona, wycieńczona, podczas wielu ostatnich dni swego pielgrzymowania staruszek niemal nie do poznania, który nie jest w stanie – w oknie niesympatycznego szpitala lub Watykanu – wykonać jakiś gest ani też wypowiedzieć choćby jedno tylko słowo.

A przecież od zarania aż po kres tej drogi działo się wciąż to samo, a otaczający go żar modlitewny w tych ostatnich momentach jego życia ziemskiego był także tą samą zwycięską obecnością Chrystusa. Jeżeli Jan Paweł II pokazywał się tłumom taki wycieńczony, osłabiony, zmiażdżony chorobą i bólem – on, który tak niestrudzenie przebiegał wszystkie kontynenty, aby głosić tam Ewangelię – to nie czynił tego z pewnością z osobistej chęci pokazywania się ludziom, lecz jedynie dlatego, że uważał, iż jego misja wymaga jego faktycznej obecności – aż po kres wyznaczony mu przez Boga samego.

Nie wybrał on sam dla siebie tego ustawicznego „bycia na posterunku”; jeżeli więc musiał być wystawiony na spojrzenia wszystkich, to raczej tylko dlatego, iż uważał, że trzeba było wykonać swoje zadanie aż po cierpienie i agonię, w całkowitym i tak bardzo uderzającym, chwytającym za serce, braku sił – w zestawieniu z tą porywającą i tak bardzo budującą aktywnością, jaka go dotąd cechowała, tak że został faktycznie upodobniony do Chrystusa tak bardzo zniekształconego na Krzyżu.

Czas umierania

Tempo naszych społeczeństw różni się zdecydowanie od tempa życia Kościoła. W tym pierwszym przypadku nie ma czasu na zastój, konieczne jest bowiem działanie, wpływanie na bieg świata i rzeczy – i to bez zwłoki. Chodzi przecież o tempo rozwoju, urzeczywistniania,

rentowności, zysku. Tymczasem Jan Paweł II pokazał niesłychaną wprost owocność momentu umierania. A jest to moment jak najbardziej realny, prawdziwy, moment bycia twarzą w twarz z Bogiem.

„Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: Jest czas rodzenia i czas umierania...” (Koh 3, 1-2a). Oderwana od wiary, wypowiedź ta stała się swoistym przysłowiem pojmowanym jako przejaw rezygnacji, pesymizmu – zwłaszcza przez ludzi niewierzących: Biblia miałaby dać wyraz zniechęcającej całkowicie człowieka wizji naturalnego biegu wydarzeń: po wzlocie początków, radościach i przyjemnościach – śmiertcionośny upadek. W swym fizycznym wyczerpaniu Jan Paweł II pozwolił nam odczytać Koheleta i tę śmiertelną trwożę w sposób jak najbardziej dyskretny i poważny: ukazał to głęboko chrystologiczne znaczenie, jakie one otrzymały; kiedy bowiem walka lekarzy o życie dobiega kresu, wypada umrzeć w tym właśnie miejscu, w którym spodobało się Bogu umieścić swego sługę, w nie zakłóconej niczym godności sługi, który powierza siebie całkowicie swojemu Władcy i Mistrzowi.

„Wszystko jest łaską” Zdanie, które Bernanos zapożyczył od św. Teresy od Dzieciątka Jezus, aby je włożyć w usta swego bohatera-księdza przy końcu *Pamiętnika wiejskiego proboszcza*, ilustruje w sposób szczególnie to ostatnie świadectwo, jakie Jan Paweł II dał prawdzie, aż po swoje końcowe „Amen”

Jeśli się dostrzeżga, że Jan Paweł II musiał znosić cierpliwie tę stopniową, postępującą wciąż nieuchronnie, utratę sił fizycznych, która – podobnie jak dla wszystkich – jest niezwykle ciężkim doświadczeniem także ze względu na swą długotrwałość, to przecież to tak bardzo bolesne doświadczenie było nie tylko dla niego, ale i dla nas je oglądających, prawdziwą łaską: było to bowiem świadectwo żarliwej, głębokiej i dojrzałej wiary. Przykład życia danego, w którym to, co najbardziej dokuczliwe i bolesne – pomniejszanie się, kurczenie i prawdopodobnie zwłaszcza dla tak niezmordowanego głosiciela Słowa, przemawiającego wciąż do niezliczonych tłumów, całkowite niemal pozbawienie głosu – jest jeszcze źródłem i powodem dziękczynienia.

Lud Boży, Kościół, był tam widzialny dzięki reakcji ludowej; nadał mu też i sam przyjął postać charyzmatyczną, zwłaszcza dzięki tym, którzy przychodzili, a którzy nie zjawiają się zazwyczaj aż tak często, dzięki tym rzeszom anonimowym i niezliczonym. Relacja pomiędzy ludem i pasterzem nie ograniczała się do samej wymiany uczuć: w tych ostatnich dniach i godzinach ziemskiego życia Jana Pawła II każdy mógł łatwo zauważyć, jak bardzo liczni byli ci, których przeniknęło

dogłębnie wezwanie do radykalnego nawrócenia, czyli wezwanie pochodzące od samego Chrystusa. Jeżeli ta fizyczna niemoc była przeżywana przez ludzi tak poważnie i pogodnie zarazem pomimo dramatyzmu, jakie środki masowego przekazu starały się wywołać, to działo się tak między innymi właśnie dlatego, że katolicy dojrzałej wiary przeżywali to spotkanie ze śmiercią jako pełne głębokiej rozważki przejście do nowego życia.

Światło Odkupiciela

Nie ma obecnie sensu dążenie do określania całej wagi tego pontyfikatu i dlatego poniższe uwagi zostały pomyślane jedynie jako jedna z wielu sugestii, które niewątpliwie jeszcze się pojawią. Chciałbym po prostu zachęcić Czytelników do ponownego wniknięcia w wielkie teksty Jana Pawła II i odczytanie ich w świetle tego ostatniego jego świadectwa. Ze względu na swoistą symbolikę znamionującą początek i kres tego pontyfikatu pozwolę sobie przypomnieć niektóre z ważkich myśli pierwszej encykliki *Redemptor hominis*, ukazując, jak dalece zalecają już one całość dzieła doktrynalnego i jak dalece nietknięta zostaje jedność aż po jeden z ostatnich jego tekstów, jakim jest *List do kapłanów na Wielki Czwartek Roku 2005*. Pomędzy tymi dwoma tekstami mamy integralną ciągłość. Encyklika *Redemptor hominis* jest całkowicie przeniknięta niezwykłą wprost mocą i świeżością początków pontyfikatu, z tym, że ta energia zespala się wciąż – aż po ostatni dokument – z żywą wiarą, która kazała mu rozpocząć lapidarnie tę encyklikę słowami: „Odkupiciel człowieka Jezus Chrystus jest ośrodkiem wszechświata i historii” Stwierdzenie to, iż chodzi tu o centralną prawdę wiary, od której wszystko zależy, określa wyraziście i najbardziej dokładnie cały ten pontyfikat. Trzeba więc było, aby ta właśnie prawda była głoszona po całej ziemi z wyjątkiem tych miejsc, gdzie władze polityczne, zacietrzewienie wrogie, nie pozwalały mu pójść.

Nie zamierzam omawiać tu wszystkich tekstów, ani nawet wszystkich czternastu encyklik. Zachęcam jedynie do ponownego ich przeczytania w świetle tego wyjściowego punktu centralnego. Trynitarny tryptyk: *Redemptor hominis* (1979), *Dives in misericordia* (1980) i *Dominum et vivificantem* (1986) zaczyna się od chrystologii. Na podstawie tejże chrystologii Papież rozwija i ukazuje w sposób w pełni zrozumiały swą wielką troskę o człowieka w wydawanych kolejno encyklikach społecznych: *Laborem exercens* (1981), *Sollicitudo rei socialis* (1987) i *Centesimus annus* (1991). Podobnie jak u Pascala, znakiem i drogo-

wskazem jest Chrystus: nie da się poznać tak naprawdę człowieka bez poznania Boga i nie da się bez Chrystusa osiągnąć prawdziwej wolności.

Ekumeniczna troska papieża Jana Pawła II wynika z nienaruszalnej więzi Kościoła z Chrystusem. A więź ta nie dotyczy tylko i tak po prostu przeszłości, jest to bowiem więź z Tym, który jest i daje nam przyszłość. W tym właśnie kluczu można by odczytywać z powodzeniem eklezjologiczne encykliki Papieża: *Slavorum apostoli* (1985), *Redemptoris missio* (1990), *Ut unum sint* (1995), a także te, które można by jeszcze do nich dołączyć: *Ecclesia de Eucharistia* (2003), względnie – w pewnym sensie – encyklikę Maryjną *Redemptoris Mater* (1987).

Z tej samej prawdy o Chrystusie wypływają jeszcze trzy inne encykliki: *Veritatis splendor* (1993), *Evangelium vitae* (1995) i *Fides et ratio* (1998). Wyzwalająca prawda, która nie jest jednak uznawana, a nawet bywa bezlitośnie zwalczana, zakotwicza w prawdziwym Dobru całe działanie chrześcijanina, nie doprowadzając przy tym nigdy do rozdzwienku czy rozdarcia między wiarą i rozumem, lecz przeciwnie: działa, aby ocalić rozum jako taki.

To samo zasadnicze nastawienie, to ściśle zjednoczenie z Chrystusem znajduje się w samym sercu jednego z ostatnich tekstów Jana Pawła II, jakim jest jakże wymowny *List do kapłanów na Wielki Czwartek 2005* – napisany w Poliklinice Gemelli, jak to wyraźnie podano. Tekst jest jasny, przejrzysty, przeniknięty radością wypływającą z przeżywanej głęboko, „aż do końca”, miłości do Chrystusa – w tym dniu Eucharystii, który jest równocześnie dniem kapłaństwa. Tekst ten potwierdza, że cała egzystencja tego, który go podpisał, naznaczona była dziękczynieniem: egzystencja dana i wydana – na wzór daru Zbawcy. Egzystencja przyswajająca sobie po raz ostatni wołanie apostoła św. Pawła: „Dla mnie bowiem żyć – to Chrystus” (Flp 1, 21). Egzystencja, która mogła się zakończyć w ten właśnie sposób, pomimo cierpień krzyża: „dary, jakie otrzymaliśmy, są tak wielkie, że nie możemy nie śpiewać z głębi serca naszego Magnificat” (nr 2).

Czas bólu, jaki przeżyliśmy, mieszał się przeto – nic dziwnego – z radością tak jasnego i zdecydowanego – aż do końca – świadectwa wiary w Chrystusa. Dane nam było widzieć tę niesłychaną żywotność Chrystusa, a nie człowieka równie energicznego i obdarzonego tyloma talentami, jakim był i pozostanie dla nas Jan Paweł II, obecność Chrystusa, który jednoczy się na swój sposób z każdym człowiekiem.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC